

Śladami zbrodni.

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył
A. S.

6

(Ciąg dalszy).

— A wasza miłość — wyksztusił Wasyl — wasza miłość, co ma w tem, żeby odszukać zaginionego? — Ja?... ja jestem bratem zamordowanego! — odrzekł surowo przybyły.

Wiera podniosła się ze stołka, a Wasyl błędnym wzrokiem spozierał na gościa.

— Dlatego to... — zaczął i umilkął, bo chciał powiedzieć: „dlatego to takie szalone podobieństwo“ — ach! dlatego to szuka pan zamordowanego. Życzę szczęścia waszej miłości, ale wątpię, czy poszukiwania w tej okolicy przydadzą się na co. Przecież jabym już o tem coś słyszał!...

— Mniejsza o to! — rzekł chłodno gość — ja zawsze robię to, co mnie się podoba! Jutro sprowadzę sobie ludzi z wioski i każdy krzew przetrząsnę, każdą szczelinę przepatrzę!...

— Życzę szczęścia waszej miłości! — powtórzył głucho stary Lubasz, ujmując za czarkę z winem.

Ręce drżały mu jak w febrze. Nie zauważył dziwnego wzroku podróżnego, bo w myśli wirowały mu wciąż dwa słowa: „jego brat“, „jego brat“. Lubasz nie był tchórzem, ale czuł, że dłużej nie będzie w stanie zapanować nad sobą i podniósł się z ławy.

— No! czas nam spać wasza miłość! — rzekł niepewnym głosem — Wiera odprowadzi was do waszej izby.

Podróżny sięgnął do kieszeni i dobył duży worek skórzany, podobny do tych, jakich używają na tytoń, otworzył go tak, że Wasyl mógł zauważyć, ile w nim było złota i banknotów i położył na stole półimperyała.

— Wasza miłość! — szepnął starzec, któremu się oczy zaiskrzyły na widok złota — a skądże ja w takiej nędznej chacie mogę mieć tyle pieniędzy, żeby zdać resztę?

— To weźcie całego półimperyała! — rzekł gość i podniósłszy się z ławy, zapiał futro, włożył czapkę na głowę i spoglądał na Wierę, która tymczasem zapaliła świecę.

— Jaki to lichtarz dajesz? jaką świecę?! — burknął stary na córkę i przemieniwszy szybko świecę, dodał:

— No, prowadź gościa! czegoż stoisz, jak wmurowana?!...

Wiera wyszła z szynkowni, a podróżny postępował za nią. W korytarzyku oboje wstąpili na trzy schodki i stanęli przed drzwiami jednego z jedyne gościnnego pokoju, jaki znajdował się w gospodzie. Dziewczę otworzyło drzwi i weszło pierwsze. Lichtarz z płonąca świecą postawiła na stole przy łóżku, a sama podeszła do okna, aby zapuścić firanki. W tej chwili podróżny szybko przymknął drzwi i jednym ruchem ręki zdjął swą czarną bujną brodę.

W tej chwili Wiera odwróciła się od okna i gorący rumieniec okraślił jej bladą twarzyczkę. Z piersi wyrwał się jej krótki nerwowy okrzyk zdziwienia.

Przed nią, najdalej o trzy kroki, z uśmiechem na ustach, stał Włodzimierz Bohdan — jeden z najlepszych tajnych detektywów policji petersburskiej.

Zaledwie drzwi szynkowni zamknęły się za nieznanym, Wasyl Lubasz zerwał się z ławy i poskoczył ku komórce, w której ukrywał się Iwan. Nie zdołał jednak jeszcze jej otworzyć, gdy parobczak kopnięciem nogi wywalił drzwi i stanął na progu.

— Wszystko słyszałem stary! — odezwał się dziko — on mówi, że jest bratem Jaroszyńskiego, ale to nieprawda! to kłamstwo! Przypatrzyłem mu się dobrze przez szparę i przysięgam, że to ogar z tajnej psiarni, który weszły za nami, żeby tylko zarzucić nam stryczek na szyję, a sobie wyłowić nagrodę! Słuchaj Wasylu! Ty wiesz, ty pojmujesz, co my musimy zrobić!...

Starzec spojrzął w oczy Iwana, które lśniły, jak u wilka i chmura przysłoniła mu czoło.

— Przecież ty nie zechcesz... chyba po raz drugi nie zbrocimy krwią rąk naszych!... — szepnął z jakąś dziwną niby dziecięcą trwogą — przecież możemy się mylić... może on istotnie jest bratem tego... tego nieszcześliwego! Jutro opuści naszą gospodę i chwilowe niebezpieczeństwo przeminie!...

Dziki, szalony śmiech rozległ się w szynkowni. — Stary, a głupi, jak stołowe nogi! — krzyknął Iwan szyderczo — mało głupi, bo i ślepy w dodatku! Czy wiesz ty Lubasz, kim jest ten człowiek?!... To ten, który w Petersburgu porwał nam Wierę!... Rys nie ma takich oczu, jak moje. Odrzuć poznałem tego łotra, któremu śmierć porprysiałem, jeśli mi kiedy ośmieli się wejść w drogę. Myślał, że nie poznam jego fałszywej brody, że gdy przybierze maskę zamordowanego, uda mu się nas lepiej podejść, ale przerachował się grubo pan ogar i trafił przecie na oprawców!...

— Tajny agent! — jęknął Lubasz — nie! tego nigdy nie przypuszczałem!...

— Nie przypuszczałeś, to przypuścisz, ale wówczas, gdy cię skutego w kajdany będzie wieść do Petersburga! Szalony byłbym, sam ukreśliłbym stryczek na moją szyję, gdybym pozwolił temu człowiekowi opuścić naszą gospodę!... Mamy go w rękach i nie puścimy więcej, rozumiesz Wasyl!...

— Gdyby to była prawda! — szepnął stary — w Petersburgu mówili ci, że on się nazywa Włodzimierz Bohdan!...

— Tak! a w dodatku dowiedziałem się, że należy do składu tajnej policji. To, o czym nie wie nawet jego matka, ja potrafiłem wydobyć na jaw! On, to nasz wróg największy i musi zginąć!... Słyszysz! słyszysz! — krzyknął nagle parobczak — czy to nie Wiera krzyknęła teraz tam na górce?!... Ach dyabli! Kto wie, czy ta dziewczyna nie stoi z nim w spółce!...

— Głupiś! — mruknął Lubasz. — Kiedyżby mogli się porozumieć? Rób już, co chcesz, ale mojego dziecka nie mieszaj do niczego!...

— Dobrze stary! — rzekł na to Iwan, ścisnąc silnie dłoń Wasyla — dobrze, ale pozwól, że ja będę mieć zawsze oczy i uszy otwarte!

Żywcem pogrzebany.

Krzyk zdziwienia, jaki mimowoli wydarł się z piersi Wiery na widok młodego człowieka, nie-mało przestraszył Włodzimierza. Najpierw odrzuć przyszło mu na myśl, że krzyk ten może usłyszeć stary Lubasz w szynkowni, a potem był przekonany, że gdzieś tam pod schodami ukrywa się rudy Iwan, który pewnie nie miał zamiaru z nim żartować. To też młody detektyw z błagalnym spojrzeniem położył palec na ustach.

— Uspokój się pani, panno Wiero! — rzekł półgłosem — w kilku słowach wytłumaczę ci, skąd się tu wziąłem. Istotnie ciężki obowiązek sprowadził mnie tu w te strony i zabłądziłem, a że znalazłem przypadkowo dom, w którym ty masz schronienie, uważam to za cudowne zrządzenie Opatrzności, którego się nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie spodziewałem!

Młoda dziewczyna ze zdumieniem i trwogą spoglądała na Włodzimierza. Pierś dziewczęca falowała jej szybko, rumieniec palił twarz, a serce biło jak młotem.

— Pan nie możesz pozostać tutaj! Pan jeszcze tej nocy musisz opuścić naszą gospodę! — wyszeptwała nakoniec.

Ale detektyw potrząsnął przecząco głową.

— Nie, panno Wiero! — odpowiedział stanowczym głosem — skoro już raz tu jestem, to pozostanę. I cóż mi się stać może, skoro ty jesteś w pobliżu? Zresztą ja niebezpieczeństw się nie boję; jestem zanadto przezorny, więc nawet troszczyć się o mnie nie potrzebujesz.

Ale te słowa jeszcze bardziej zasmuciły młodą dziewczynę.

— Nie wiem z jakiego powodu narzeczony mój nie znosi pana. Gotów wpaść tutaj i mogłaby się rozegrać krwawa scena!

— I owszem! — uśmiechnął się Włodzimierz — niech tylko wpadnie, a przekonam się, że trafił raz na swojego! Jedna rzecz mnie męczy, jedna rzecz spać mi nie daje od tej chwili, w której przyniosłem panią z nad brzegu Newy do naszego domku!...

Młody detektyw umilkł i spojrzał bystro w oczy dziewczyny, która znów okryła się ciemnym rumieńcem.

— Powiedz mi, panno Wiero, czy ty zostaniesz żoną tego człowieka?

Twarz dziewczyny przybrała wyraz stanowczego zdecydowania.

— Nie! nigdy! — rzekła z mocą — ja znieść nie mogę jego dotknięcia się. Widok jego doprowadza mnie do rozpacz i raczej własnymi rękami uduszę się, a nie zostanę żoną Iwana, nawet gdyby chciał mnie wziąć gwałtem!...

— Wiero!...

Włodzimierz chciał ująć dziewczę w objęcia i przycisnąć ją do piersi, ale ona zwinny skokiem znalazła się przy drzwiach.

— Muszę już iść, aby nie wzbudzić podejrzeń — szepnęła — światła pan nie gaś, bo gdy wszyscy w domu usną, ja przyjdę do pana. Muszę cię przecież wyprowadzić stąd i pokazać drogę do wioski, bo tu zostać nie możesz!...

— Ale dlaczego? Dlaczegoż to panno Wiero?

— Nie pytaj mnie pan! teraz nie mogę na to odpowiedzieć! Dobranoc!...

I Wiera zniknęła za drzwiami.

Młody detektyw począł przechadzać się po pokoiku. Myśl jego pracowała z nateżeniem.

— Hm, hm! — dumał — coś tu nie wszystko jest w porządku! Byłem o tem przekonany, gdy tylko wszedłem do szynkowni. Iwan tu jest! Widziałem go przez okno, a jednak ukrywał się. Coś mi się tu nie podoba i kto wie — kto wie, czy nie jestem teraz na tropie zbrodni!...

Z głową przepełnioną takimi myślami, Włodzimierz podszedł ku drzwiom i zaczął oglądać zamek. Odrzuć zauważył, że jedno silne uderzenie wystarczy, żeby go wyłamać, lecz wyżej trochę dostrzegł potężny rygiel, z którym złodziej miałby sporo do roboty.

Przedewszystkiem więc zasunął ten rygiel, po czem podszedł do okna, odsłonił firankę i otworzył jedną okiennicę.

— No! — rzekł sam do siebie — w razie wypadku jest i droga do odwrotu! las niedaleko i nikt mnie w gąszczach nie odnajdzie!...

Wyciągnął rękę, chcąc zbadać, czy śnieg pada i uczuł, że w oknie jest gesta, silna krata.

— A do stu dyabłów! — krzyknął w duchu — więc to teraz znajduję się za kratkami, jak we więzieniu. Cóż to ma znaczyć?!

Pochwylił kratę oboma rękami i wstrząsnął nią z całej siły, ale żelazne, silnie wmurowane pręty — nawet nie zadrżały pod naporem jego dłoni.

Włodzimierz zamknął okno i zaczął się rozglądać po pokoju.

Na brudnych, dawno już niebielonych ścianach nie było ani jednego obrazka. Pod sufitem, skleconym z prostych belek, pajaki od lat tkwały już swoje sieci. Całe umeblowanie pokoju składało się z dużego łóżka, na którym leżały trzy poduszki i kilka ciepłych, wojskowych koców i dwóch stołków i stolika, na którym stała czarka i dzbanek napełniony wodą. W drzwiach gościnnego gospodarz wbił kilka haków, które musiały zastępować wieszadła.

Na podłodze w całym pokoju była rozścielona ogromna zniszczona płachta, która zastępowała dywan.

Włodzimierz zbadał wszystko jak najdokładniej, poczem przystąpił do łóżka. Czysta świeża pościel nęciła go ku sobie, ale młody detektyw nie dał się skusić.

Jednego nie pojmował. Oto dlaczego Wiera powiedziała mu, że musi ten dom jak najprędzej opuścić? Czyżby myślała, że samotny podróżnik odważy się bez broni zapuścić w takie pustkowia? Włodzimierz miał przy sobie znakomity ośmiostrzałowy rewolwer amerykański i mógł sobie kpić z wszystkich napaści Iwana.

Wierze powiedział szczerą prawdę. W poszukiwaniach swych zapędził się w tę okolicę i nad wieczorem zabłądził. Dotarłszy do ustronnej gospody, naumyślnie przystroił się w brodę, która na pierwszy rzut oka czyniła go ogromnie podobnym do Borysa Jaroszyńskiego. Był pewny, że mordercy zdradzą się, gdy go zobaczą. Pomieszanie starego Wasyla nie uszło jego uwagi i teraz zastanawiał się, czy Borys Jaroszyński istotnie nie wydał tutaj ostatniego tchnienia.

Ale w takim razie mordercą mógł być tylko Lubasz, lub Iwan, albo też obaj razem!

Lubasz, ojciec Wiery?

Włodzimierz wzdrygnął się na samą myśl o tem, ale równocześnie zbudziło się w nim poczucie obowiązku.

Nawet za cenę tej dziewczyny morderca nie może mu uść bezkarnie!

— Dobrze! — powiedział mu jakiś głos wewnętrzny — ale gdzie dowody?!

— Znajdę je, choćbym miał cały ten dom przewrócić do góry nogami! — odpowiedział sobie w duchu Włodzimierz — nic mnie nie wzruszy, ani opór gospodarza, ani łzy i prośby Wiery! Póty nie ruszę się stąd — póki nie nabiorę pewnością!

Młody detektyw sięgnął do kieszeni, dobył z niej rewolweru i oglądając go dokładnie, położył na stoliku obok świecy, poczem siadł na łóżku i spoglądał na ścianę.